Rok I. Wrzesień 1898 r. Nr. 3.



Powściągliwość i Praca

Organ Towarzystwa

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC.

Prenumerata roczna wynosi:

W Austro-Węgrzech . . 1·20 kor. W Ameryce . . . . . ½ dolara.
W Niemczech . . . . 1·40 mrk. W Rosyi . . . . . . ½ rubla.
W innych krajach 2 franki.

Dla Członków Towarzystwa „Powściągliwość i Praca" za darmo.

Wszelkie przesyłki i listy pieniężne prosimy adresować:
STANISŁAW ORLEMBA
kierownik Zakładu wychowawczego w Miejscu Piastowem.

Z PRZEMÓWIEŃ WIECZORNYCH.

Dzisiaj mówić będę o **prawidle i kierunku w miłości bliźniego.**

Mamy miłować każdego człowieka żyjącego na tym świecie, **jak siebie samego** i tak **jak nas Pan Bóg umiłował.** Albowiem w piśmie świętem Pan Bóg nakazuje: „Będziesz miłował bliźniego, jak siebie samego", a znowu na drugiem miejscu: „Nowe przykazanie daję wam, abyście się wzajem miłowali, jakom ja was umiłował". Jedno i drugie powiedzenie spływa w jedno prawidło miłości bliźniego. Albowiem Pan Bóg w ten sposób nas umiłował, iż stworzył nas na obraz i podobieństwo swoje i przeznaczył nas do nieba. My więc mamy najpierw samych siebie w ten sposób miłować, abyśmy przedewszystkiem na sobie zatrzymali, niezatarte odbicie Boże i osiągnęli cel nasz ostateczny — Boga, a potem abyśmy pomogli wedle sił naszych i bliźnim naszym do osiągnienia tegoż samego. Mamy wyzuć się „ze starego człowieka," który siebie i swoje doczesne korzyści uważał za cel ostateczny, a bliźnich tylko o tyle miłował, o ile oni byli mu na rękę w osiągnieniu rzeczy ziemskich: a mamy zaś przyodziać się „w człowieka nowego," w Chrystusa, który umiłował przedewszystkiem dusze nasze, wyjednawszy nam męką i pracą Swoją łaskę, sakramenta święte, inne środki zbawienia i chwałę wiekuistą w niebie. Owoż uważajcie miłe dzieci, bliźniego należy wedle możności naszej wspierać w potrzebach jego ciała materyalnie, ale przedewszystkiem pomagać mu w potrzebach jego duszy, aby ta była cnotliwą, uświęconą łaską Bożą i zbawiła się na wieki. A nawet uczynki nasze miłosierne co do ciała tak powinny być skierowane, aby głównie dusza bliźniego stąd korzyść odniosła. Uczynki miłosierne względem duszy powinny stanąć na pierwszem miejscu, a zaś uczynki miłosierne co do ciała na drugiem dopiero, atoli tak powinny być spełniane, aby przedewszystkiem duszy wyszły na pożytek, boć cnota największem i prawdziwem bogactwem, a skarby tego świata tylko o tyle mają rzetelną wartość, o ile prowadzą do cnoty i służą jej. Oto takie prawidło miłości chrześciańskiej bliźniego. Zapamiętajcie sobie tedy miłe dzieci, w jakim kierunku macie siebie miłować i w jakim kierunku macie okazywać uczynność bliźnim naszym. Nie o to bowiem chodzi, aby ludzie na tym świecie we wszystko opływali: aby mieli pod dostatkiem co jeść, co pić, czem się okrywać, aby mieli mieszkanie wspaniałe i rozrywek bez miary, czyli jednem słowem raj na ziemi; ale aby byli prawdziwie cnotliwymi, aby Boga mieli w sercu i aby mieli raj w drugiem życiu na wieki zabezpieczony. Oto starajmy się głównie i przedewszystkiem dla siebie i dla innych; a reszta będzie nam przydana w dodatku. Dążcie głównie za tem, aby w sercach waszych i w sercach waszych bliźnich nie było grzechu śmiertelnego, ale łaska poświęcająca i wielki zasób cnót, aby każdy z nas spełniał gorliwie obowiązki swoje na chwałę Bożą, a dobre i obfite jedzenie, doczesne przyjemności wszelkiego

rodzaju, dobrobyt i szczęście na tej ziemi same przyjdą od siebie w dodatku.

Był kilka wieków temu monarcha francuzki Henryk IV., który mawiał, iż dąży do tego, aby każdy włościanin w jego państwie miał kurę na obiad. I rzeczywiście udało mu się podnieść dobrobyt ludu, i za to dano mu tytuł „Wielkiego". Atoli dobrobyt Francyi nie zbawił jeszcze, owszem podniecił namiętności i przyspieszył straszny rozlew krwi i wojnę bratobójczą przy końcu zeszłego stulecia.

Tudzież drugi monarcha francuzki żyjący w tem stuleciu podniósł naród swój pod względem materyalnym i sprawił, iż Francya stała się najbogatszym narodem świata. Na otwarcie fabryk sam jeździł i dał robotnikom wielkie zarobki. A jednak przy końcu życia patrzył sam na straszny upadek własny i narodu swego. I lubo dzisiaj Francya posiada ogromne dostatki, nie czuje się jednak szczęśliwą.

Gdzie przyczyna? — Oto wywrócony porządek od Pana Boga ustanowiony, na mocy którego mamy najpierw szukać cnoty czyli Królestwa Bożego a potem dopiero bogactw i dostatków doczesnych. Pan Jezus jest największym i niedoścignionym nauczycielem i mistrzem co do nabywania bogactw i szczęścia ludzkiego czyli pierwszym ekonomistą. Z Nim będziemy trzymać i za Jego wskazówkami pójdziemy we wszystkich sprawach naszych, a z pewnością dobrze na tem wyjdziemy. On nas uczy, iż nie zarobki jak największe, nie sam dobrobyt wielki i nie fabryki liczne sprowadzą pokój na ziemię i nas uszczęśliwią, ale szukanie przedewszystkiem Królestwa Bożego i jego sprawiedliwości czyli cnoty, za któremi przyjdą liczne fabryki, wielkie zarobki, wielki dobrobyt, szczęście doczesne, a co najważniejsza szczęśliwość wiekuista.

O użyciu metody uprzedzającej przy wychowaniu młodzieży

(według księdza Bosko).

(Ciąg dalszy).

5. Czuwać należy jak najusilniej, aby nie dopuścić do Zakładu pism, książek i druków gorszących, a jeszcze bardziej osób prowadzących rozmowy niewłaściwe. Wybór dobrego odźwiernego jest pod tym względem rzeczą wielkiej doniosłości dla każdego Zakładu, gdzie się wychowuje młodzież.

6. Każdego wieczoru po odmówieniu zwykłych pacierzy zanim wychowankowie udadzą się na spoczynek, kierownik Zakładu lub jego zastępca przemawia krótko a serdecznie do młodzieży, zalecając jej szczególniej jaką cnotę, albo przestrzegając przed grzechem pewnym, a oraz podając środki skuteczne w tym celu. To trwa najwięcej kilka minut.

7. Do pierwszej spowiedzi i do pierwszej Komunii świętej należy przygotować młodzież jak najwcześniej i przypuszczać je do tych świętych tajemnic pierwej, zanim grzech i zepsucie nie zarazi serca dziecięcego. Dzieci siedmioletnie a nieraz jeszcze młodsze, z wielką korzyścią swoją przystępowały do Komunii świętej. Tego uczy nas historya kościelna.

8. Wszystkie katechizmy zalecają częste przystępywanie do świętej Komunii, idąc za radą wielkich w kościele Bożym nauczycieli a osobliwie za życzeniem świętego Soboru Trydenckiego, który pragnie, aby każdy wierny tak często przystępował do Komunii świętej, ilekroć jest obecnym przy odprawianiu Mszy świętej, iżby mógł odnieść jak największy pożytek z tej przenajświętszej Ofiary. A zatem przez usta świętego Soboru Duch święty życzy sobie, aby i młodzież często przystępowała do tej wielkiej Boskiej tajemnicy, zwłaszcza że jest mniej winną, aniżeli osoby dorosłe, a do tego młodzież pilnie dozorowana we dnie i w nocy i pouczana o rzeczach religijnych należycie i nie rzadko.

Zarzucają niektórzy, iż częste używanie rzeczy świętych może sprowadzić ich spowszednienie a tem samem szkodę na duszy. Tak mogłoby nastąpić rzeczywiście, gdyby przy częstej Komunii nie było innych ćwiczeń pobożnych a osobliwie gorliwego opowiadania i rozważania słowa Bożego, czego właśnie u nas nie brak, jak to wyżej wykazaliśmy.

Korzyści metody uprzedzającej są wyraźne. Dla wychowanków jest ona wielce przystępną, bardzo łatwą, przyjemną i korzystną, dla wychowawców jest wprawdzie nieco przetrudną, ale pełną pociech duchownych i brzemienną w świetne skutki, byle ci ostatni zabrali się do jej stosowania z całem poświęceniem i oddaniem zupełnem. Jeśli wychowawca gotów jest do podjęcia wszelkich trudów, kłopotów i niewczasów dla dobra swoich wychowanków, niechybnie dokona zapomocą tej metody celu zamierzonego. Przy tej metodzie wychowawca musi się „stać wszystkiem" dla każdego ze swoich wychowanków. Miłość nadprzyrodzona, jaka napełnia jego serce, uczyni mu wszelką pracę łatwą i przyjemną; ona to sprawi, iż wychowankowie jego przejęci będą względem niego prawdziwą miłością i rzetelną czcią; iż będą po wszystkie czasy o nim wspominać mile i uważać go zawsze za swego brata starszego a nawet za ojca. A jakież miłe uczucia, zadowolenia przepełniać będzie serce takiego wychowawcy na widok swoich dawnych wychowanków, gdy ci zająwszy różne stanowiska w społeczeństwie, okażą się pociechą swoich rodzin, pożytecznymi członkami

gminy, kraju, narodu a przedewszystkiem dobrymi chrześcianami.

Jakkolwiek byłby złym i zepsutym charakter, skłonności i stan moralny wychowanków na wstępie do naszego Zakładu, rodzice i opiekunowie mogą być pewni, iż syn ich lub pupil w domu naszym nie stanie się gorszym, ale owszem po największej części z biegiem czasu uda mu się choć cokolwiek poprawić a nawet może stać się doskonałym i wyjść na chlubę rodziny i społeczeństwa. To mówimy z doświadczenia wielu lat.

Źli chłopcy, którzy mieli szczęście dostać się do Zakładu, gdzie stosowana jest metoda uprzedzająca, nie mogą przez swe złe skłonności i narowy szkodzić swoim towarzyszom. Tak samo dobrzy chłopcy nie będą mogli się popsuć od złych, bo nie mają do tego czasu, ani miejsca ani żadnej sposobności, gdyż dozorca, który zawsze jest z nimi, zdoła temu wszystkiemu skutecznie zapobiedz.

Listy ks. A. R.

(miasto Ponta-Grossa w stanie Parana, Ameryka południ.)

Hamburg, dnia 6 sierpnia 1896.

Dnia 3 sierpnia przyjechałem do Hamburga około 12 godziny w nocy, sam jeden jak palec, Polak; Polak jeden między samymi Niemcami. Lecz żebyście wiedzieli jak to śmiesznie tak jechać... Każdy pyta się po niemiecku, rozmawia, ale jakoś tak po dzikiemu, że trudno zrozumieć. To też tak jak ja i Niemiec niejeden wytrzeszczy oczy i obaj nawzajem się śmiejemy. Gdy mi się zaś czasem udało dobrze po niemiecku mówić, to wtedy Niemiec chciałby mówić bez końca i nie może tego pojąć, jakim sposobem nie można go zrozumieć, kiedy on tak umie trzepać po niemiecku. Pół drogi tośmy się z jednym Niemcem nagadali dowoli, ale i powoli. W końcu powiedział mi, że się wnet tak jak należy mówić nauczę po niemiecku.

Przyjechawszy do Hamburga, siadłem do dorożki i udałem się do hotelu, i czegom się ani spodziewał, to znalazłem; w hotelu zastałem jednego księdza który także teraz jedzie do Brazylii, a ten w Hamburgu jest już od kilku tygodni przy jednym kościele, zastępuje polskiego proboszcza. Zastałem w hotelu także kupca pewnego z Brazylii, który się tu do Europy wybrał umyślnie po towary. Kupiec ten jest z samej Kurytyby, Polak rodem, teraz jedzie napowrót do Brazylii. Razem więc wszyscy pojedziemy, ale nie 5 sierpnia tylko aż 12 a to z tej przyczyny, że ten okręt, który 5 sierpnia odjeżdża jest kiepski i niepewny, inny zaś, który odpływa 12, jest mocny i wielki. Zatem choroba da się mniej na nim we znaki, gdyż mniej będzie nas wstrząsał. Pływałem tu statkiem po rzece Elbie kilka razy, zażywając sobie jazdy po wodzie. Widziałem już okręt którym pojadę, ale mnie ani kszty strach nie obleciał. Przechadzam się teraz po Hamburgu, zwiedziłem już ogród, gdzie z całego świata zwierzęta pokazują. Napatrzyłem się do woli i tak mi czas zejdzie aż do 12 sierpnia. Dwunastego zaś po południu wypłyniemy na otwarte morze. Tymczasem zaś wynajęliśmy tu wszyscy pokój na tydzień, zamówiliśmy wikt bardzo tanio i tak czekamy. Kupiec ten nas nie straszy ale mówi, że się nam tam wcale przykrzyć nie będzie. Nie ma tam takiej biedy, ale dla początkujących wychodźców chłopów nędza straszna. Rzemieślnicy bardzo dobrze stoją: szewcy, krawcy i t. d. A także i co do niebezpieczeństw strachu nie ma! Kupiec mówił, że rewolweru ani żadnej broni przy sobie tam przez 20 lat nie miał w ręku a nic mu się nie stało, nikt mu nic złego nie zrobił. Ten kupiec o którym piszę to bogaty człowiek, pouczył mię w co się mam zaopatrzyć.

Wszystko mi Pan Bóg tak daje, jak ani nie oczekiwałem. Spotykam po drodze miłe niespodzianki. Żebym się był nawet z ludźmi porozumiał, tobyśmy się i tak tu wszyscy nie zeszli jak teraz, choć jeden o drugim zupełnie nie wiedzieliśmy.

Hamburg, dnia 11 sierpnia 1896.

Już jutro t. j. 12 b. m. odjeżdżamy. Przyjemnie mi zeszły te dni, a to tak przyjemnie, bo się człowiek wielu rzeczom napatrzył do syta! Przejechałem się — jak wam już pisałem — na statku i powąchałem już wody, ale nie taka straszna! Ten miesiąc do jazdy — jak mi mówił ten kupiec z którym teraz mieszkam — jest najspokojniejszy i niczego nie potrzebujemy się obawiać. Umie ten kupiec dobrze mówić po brazylijsku, zna te miasta przez które będziemy przejeżdżać; tak, że gdyby nawet brakło nam pieniędzy, to on w tej chwili zatelegrafuje do swego domu i nie boimy się niczego. Kiedy też przyjedziemy do Kurytyby, to on ma swój dom w pobliżu, więc najpierw wstąpimy do niego, a potem jego końmi do kiędza biskupa tamtejszego pojedziemy. Szczęście to wielkie dla mnie, że mi się tak trafiło, bo mnie wszędzie wszystko taniej kosztuje, a czas przyjemnie schodzi, tak, że się niczem nie turbuję.

Z morza, dnia 17 sierpnia 1896.

List ten piszę z morza, z okrętu teraz mniej więcej jest godzina 10 przed południem. Wieczorem o godzinie 8 będziemy już w Lizbonie, w Portugalii; tam

będziemy czekać ze dwa dni, a potem dalej puścimy się w drogę.

Teraz opiszę wam moją podróż morską przez tych kilka dni. 12 sierpnia po południu o godzinie trzeciej wsiedliśmy na statek i popłynęliśmy tym statkiem do okrętu, który stał na głębszej wodzie; ten okręt nazywa się Paraguassa i tym też okrętem jedziemy. Kiedy już statkiem dopłynęliśmy do okrętu, to tam rzeczy nasze z mniejszego statku wypakowano i mamy je wszyscy przy sobie każden swoje. Nie odrazu, jednak ruszyliśmy w drogę; jeszcześmy się przenocowali na okręcie, dopiero 13 sierpnia raniutko okręt ruszył z miejsca, ale nie sam. Drugi okręt mały przywiązano do niego liną i ten mały okręt dopiero go powoli ciągnął na większą wodę. Ładny tu widok, bardzo ładny! Cała chmara okrętów to większych, to mniejszych krąży to w jedną, to w drugą stronę; te okręty to jakby gmachy jakie rozstawione tam i owdzie, jak mrówki: jedne wiozą podróżnych w daleki świat, inne malutkie ciekawych na przejażdżkę, tylko ot tak dla rozrywki i zabawy. Kiedyśmy się już puścili na głębszą wodę i wydostali z całego lasu okrętów, zaczął nasz okręt galopować, zaczął przekrzywiać głowę tu i tam, przechylać się na wszystkie strony, jakby w tańcu. Zdawało mi się z początku — ej kiepsko to będzie, bo i morze nabrało ochoty do hasania. Wyjechaliśmy bowiem w deszcz i słotę. Kiepsko — myślę sobie — trzeba tu będzie chorować i to dobrze. Ale nie tracę otuchy. Ty psia kość chorobo morska! — myślę sobie — ja cię tu muszę oszukać. Udam że choruję, położę się na łóżku przyczaję się to mnie może i ominie. Tak też zrobiłem. Położyłem się na łóżku i leżę cichutku, jakbym najbardziej chorował. Głowy nawet nie podnosiłem przez cały dzień. Nic nie jadłem nic nie piłem tylko leżałem, a okręt sobie tańczył w najlepsze. Oj bieda będzie bieda! — myślę — jeżeli tak dalej będzie. Już dzień przeszedł a ja leżę, i tak zwiodłem chorobę, bo ani mi się w głowie nie zamąciło, ani nie wymiotowałem. Zdrów wstałem zupełnie na drugi dzień, a jak mi się jeść chciało okropnie! Taki mam teraz apetyt, żem jeszcze przez całe życie takiego nie miał! Jem co się zowie; wszystko jem co dadzą i to, co drudzy nie zjedzą! To też mi mówią, że się zaczynam paść. Z początku wprawdzie, troszkę zaczęło mi kręcić w żołądku, ale im bardziej kręciło, tem więcej jadłem z apetytem. Piłem piwo, wino i co się dało a zdrów jestem tak, że wychodzę na pokład na sam przód, gdzie się okręt najbardziej chwieje. I tak całymi dniami tam wystawam, a jeszczem od tego zdrowszy, bo świeże tu powietrze, a jakie miłe! Coś jeden dzień kiedyśmy wyjechali, była słota i przykro się człowiekowi wydawało. Ale wnet się słońce do nas uśmiechnęło i teraz pogoda prześliczna. Prześliczna pogoda, słońce ciągle świeci a w nocy księżyc. Okręt płynie spokojnie, powietrze świeże, majtkowie przygrywają, czegoż nam więcej brakuje?... Tak daje Pan Bóg, jak lepiej dać nie może. Po drodze spotykaliśmy rozmaite okręty z różnych krajów, pędzące w różne strony. Przejeżdżamy też około lądu; jak ślicznie woda wygląda z morza! Widzieliśmy Anglią, ma się rozumiec wybrzeża, białe jak kreda, a nawet i jedno miasto angielskie. W święto Wniebowzięcia płynęliśmy około wybrzeża Francyi, a 16 sierpnia widzieliśmy wybrzeże Hiszpanii. Na wybrzeżach tych są latarnie morskie, ostrzegające płynących przed skałami, z których co chwila wylatuje światło tak jak błyskawica.

Z morza, dnia 31 sierpnia 1896.

Dnia 18 sierpnia przyjechaliśmy do Lizbony — śliczne to miasto; mieliśmy czas przypatrzyć mu się dokładnie, gdyż przez półtora dnia czekaliśmy, a z Lizbony odpłynęliśmy 19 sierpnia o godzinie 4 po południu w drogę. Zaledwie ruszyliśmy z miejsca, powstał wiatr dość silny, więc rozpięto żagle i okręt pomknął jak wiatr, chwiejąc się to w tę, to w ową stronę. Zaraz się też ludziska do kajut pochowali, oddając to wszystko, co zjedli. Lecz ja miałem dość silny żołądek, bo ani mnie głowa nie zabolała, ani nie wymiotowałem wcale. Gorąca też jeszcze wielkiego nie było chociaż już równik przepłynęliśmy, bośmy na dobry czas trafili. Zresztą na morzu takie gorąco nie może być, bo je woda pochłania, a jak dojedziemy na miejsce, gorąca już nie będzie tak wielkiego. Teraz zbliżamy się do wyspy Bahii, gdzie spoczniemy półtora dnia. Do Rio Janeiro mamy jeszcze 2 dni drogi, a z Rio znów 2 dni koleją do Paranagua mamy 11 mil; tak nam zejdzie jeszcze kilka dni, ale więcej na wypoczynku, niż na jeździe. Morzem mamy zatem jeszcze 4 dni drogi, ale nie będziemy pierwej w Kurotybie, aż przed samym 8 września.

Portao, dnia 24 września 1896.

Piszę z Portao. Miejscowość ta oddaloną jest przeszło pół mili drogi od Kurotyby, stanowi jakoby jej przedmieście i kiedyś, z pewnością tu w tej stronie staną wspaniałe budynki. Dziś stoją tu tylko pojedyncze domy, ale są to zgrabne, ładne i schludne domki.

Jak wam już pisałem, z deszczem wyjechaliśmy z Hamburga i po miesięcznej dosyć pomyślnej podróży morskiej, znowu z deszczem spadliśmy do miasta portowego Paranagua, z którego wprost do Kurotyby przybyliśmy dnia 14 września. Zaś do Rio Janeiro przypłynęliśmy dnia 5 września, gdzie czekaliśmy przez całe 8 dni na następny okręt. Oj! nu-

dziło się nam też tam co niemiara, ale że nas było trzech towarzyszy, więc jakoś to zeszło. Razem wynajęliśmy dla siebie w hotelu pomieszkanie, razem chodziliśmy na spacery, obeszliśmy Rio prawie w około. Rozwlekłe to miasto! Nad brzegiem morza równina i ulice też równe. Tam skupia się cały handel, ale dalej od brzegów morskich rozpoczynają się góry. Ale szczególniejsze są te góry; tak wyglądają jak kopce na ziemniaki jedne koło drugich, na nich rozłożone jest miasto, a dalej są jeszcze większe. Szczyty zaś tych gór kryją się w mgle i chmurach, to znowu wyzierają z ponad chmur; nie są to tak chmury, jak raczej gęsta mgła. Wspomniałem też w poprzednim liście, że po drodze z Hamburga do Rio Janeiro wstępowaliśmy do Lizbony w Portugalii i do Bahii w Brazylii. Obydwa te miasta pięknie się prezentują z morza; domy w nich wyglądają z zieleni. Ale jakaż różnica między temi dwoma miastami! Lizbona ładnie przedstawia się z daleka, tak samo jak i Bahia, ale z bliska gdy się do Bahii wejdzie, to smród żydowski, niechlujstwo tak jak i w galicyjskich miastach, gdzie żydzi mieszkają, a nawet jeszcze gorzej. W Lizbonie zaś inaczej, chociaż i tam spotyka zawód podróżnego. Nie takie ulice jak w innych miastach, nie taki porządek jak w innych miastach, nie tak wygląda wewnątrz jak zewnątrz. Ale zato ogrody ładne w Lizbonie, bo kiedyśmy się przypatrywali z wieży najwyższej kościoła, jakże piękny przedstawiał się nam widok, co za cudne położenie tego miasta: na wzgórzach, w ogrodach to miasto się rozłożyło. To też miałem szczęście w Lizbonie, że pierwszy kościół do którego wstąpiłem był kościołem św. Antoniego Padewskiego.

W Bahii, choć zewnątrz to miasto bardzo mi się podobało, jednak gdym wszedł w jego ulice zaraz chciałem się cofnąć, takie jest wewnątrz brzydkie! Ludzie tam są czarni ale to tacy czarni, jak kominiarze, bo to są ludzie z pod równika, gdzie jest największe na świecie gorąco. Miałem też to szczęście z kilkunastoma czarnymi jechać na okręcie; są to bardzo dobrzy i grzeczni ludzie, a gdy do Europejczyków przemawiają, to w ten sposób się odzywają: „Sinhor Bianco!“ to znaczy Biały Panie!

Kiedyśmy już przyjechali do Rio Janeiro, nie opuściliśmy żadnego poranku, aby nie być w kościele. Niektóre kościoły są bardzo piękne. Byliśmy na Mszy świętej, którą odprawiał biskup tamtejszy; widzieliśmy też dużo księży. Chodzą w rewerendach, inaczej nawet nie wolno im się pokazać w mieście, tylko kapelusze i płaszcze mają odmienne. Byliśmy także w Rio w kościele cesarskim na nieszporach. Oj, ślicznie bo też to na chórze śpiewali; tak się zdawało wtedy człowiekowi, jakby już był w niebie. W Rio też odłączyłem się razu pewnego od swych towarzyszy i poszedłem w inną ulicę, a potem dalej i dalej, ot tak dla próby, czy też do mieszkania sam trafię, ale zbłądziłem. I tak błądziłem coś przeszło dwie godziny, aż w końcu, jak umiałem tak się pytałem policyantów i wreszcie ten hotel gdzieśmy mieszkali, znalazłem.

Podczas tej mojej podróży widzieliśmy wieloryby, dalej ryby latające które chwilami pływają po wodzie, to znów wzlatują w powietrze. Kilka takich ryb aż na pokład okrętu spadło. Widzieliśmy też ryby podobne trochę do świń; co która z nich wyskoczyła z wody, to znów dała nurka, a kiedy wyskakiwały, to tak wypuszczały ze siebie wodę, jakby z jakiej fontanny. Na równiku urządzili nam majtkowie chrzest. Dnia 28 sierpnia, kiedyśmy przez równik przejeżdżali, majtkowie urządzili wieczorem przedstawienie; poubierali się w ubrania rozmaite podobne jak w teatrze, postawili wielką wannę z wodą morską i każdego, kto pierwszy raz równik przejeżdżał, wtrącali do tej wanny.

Dnia 14 września przyjechaliśmy do Paranagua, tam przenocowaliśmy i dalejże na kolej zaraz po południu. Dziwna to kolej! Jest tylko pierwsza i druga klasa i wagon na bagaże, ale też nie więcej jak trzy wagony było i wtedy, kiedym jechał. Bodajcie z taką koleją — toćby ją konie uciągnęły, a tu maszyny przypinają! Myślę sobie — jak też ona poleci?... O! leci tak jak każda inna w Galicyi. Jedziemy tak chwilę, aż tu wjeżdżamy w góry, a potem i na góry i ciągle w górę i w górę, przeszło 1000 metrów, a może nawet do 1500. Ale tak jedziemy, że ciągle prawie wtem samem jesteśmy miejscu, a wiecie dlaczego? Dlatego, że góry powoli, powoli okrążamy i co zajedziemy dalej, to się wracamy. Ciągle się kolej wspina, ciągle się wraca i powoli, bardzo powoli postępuje dalej. 15 tuneli przechodzi, a co się z jakiej góry wychyli, to znów we wnętrzu innej góry się kryje. Ładny to widok, ale aż mrowie przechodzi, kiedy się przyjdzie na taką jazdę popatrzeć! Tu skały i przepaście popod nogami, to znów gdy się spojrzy w góry, szczytu trudno okiem dosięgnąć, a kolej w środku pędzi nie po linii prostej, ale po krętej. Żeby choć tor kolejowy był szeroki, ale tak nie jest. Tor kolejowy wązki tak, że się zdaje, iż się cała ta droga usunie, bo tylko zdaje się być przyczepiona. Gdy się jedzie a wagony się skręcają na zakrętach, to aż się ciemno w oczach robi, żeby te wagony nie pospadały. A tak, to wiem dlaczego tak mało wagonów idzie... Ale okolica śliczna — lasy i lasy, ale odmienne, bo lasy inne, a na równinach wśród krzaków wyglądają domki, wsie i miasteczka. Przyjeżdżamy wreszcie 15 września wieczorem o godzinie pół do siódmej do Kurotyby. Och! przecież już skończyła się moja podróż! Ano, gdzież teraz jechać?...

O tem ani nawet nie myśleliśmy, bo jeszcze w drodze zaprosił nas ten kupiec do siebie w gościnę. Wstąpiliśmy jeszcze w mieście do jednego Czecha, napiliśmy się piwa i dalej w drogę! Szczęście miałem wielkie, żem się spotkał z tym kupcem w Hamburgu; jest to kupiec, który ma 2 kamienice w Kurotybie i dom w Portao, gdzie mieszka z rodziną. Serdecznie nas wszyscy przyjęli. Z jednego pokoju nam ustąpili i nam księżom zostawili go do tego czasu, póki nie wyjedziemy na miejsca przeznaczone. Dali nam jeść, ugościli nas, wygodnieśmy się przespali, a kiedyśmy się zapytali, co będzie za to żądał, jeszcze się na to oburzył. Do Kurotyby prawie każdego dnia jedziemy, gdzie pierwszą Mszę św. na brazylijskiej ziemi odprawiliśmy, a potem prawie każdego każdego dnia odprawialiśmy Mszę św. w katedrze. Śliczna katedra szczególniej zewnątrz, bo wewnątrz jeszcze dość pusta. Byliśmy także na jednej kolonii polskiej, gdzie są tylko sami Polacy, ot zupełnie tak jak w Galicyi, tylko że mężczyźni noszą koszulę w spodniach; spodnie zaś noszą podobnie jak robotnicy w powszedni dzień, a w niedzielę jakby panowie. Ale charakter, mowa, zwyczaje i usposobienie, tak jak u galicyjskich gospodarzy, tylko że ci są nieco mądrzejsi, bo umieją po portugalsku i po niemiecku, ale tylko ci, co się więcej z ludźmi innej narodowości spotykają. Trafiłem na tej kolonii na odpust. Ten ksiądz co ze mną jechał, miał sumę, ja kazanie, proboszcz zaś spowiadał, i tak we trzech odprawiliśmy tę uroczystość. Lud się cieszył że księży polskich więcej widzi; rozmawialiśmy z nimi, byli to po największej części z gorlickiego i jasielskiego. Za kazanie i za sumę dostaliśmy kilkanaście milreisów, dali na mszę św., a pieniądze w takim razie się przydadzą. A co nas spotkało w Kurotybie?... Przechadzamy się razu pewnego po ulicy, w tem wychodzi z kamienicy jakiś Brazylijczyk zamożny i zaczepia nas, ale nie rozumiemy co chce powiedzieć. W tej chwili woła Polaka na tłumacza i dowiadujemy się, że chce nam dać na Mszę świętą. Drugim znów razem, kiedyśmy wstąpili do jednego domu polskiego w Kurotybie, służący przychodzi i przynosi po 5 złr. dla jednego i dla drugiego księdza od jakiegoś pana, który kazał powiedzieć to tylko przez służącego że to dla księży, którzy świeżo przechodzili.

Dnia 16 września byliśmy u ks. biskupa, oddaliśmy mu papiery, a ten kazał nam czekać przez kilka dni, bo tak naprędce nie sposób było wyznaczyć nam miejsce, wobec tego, że we wielu parafiach księży brakuje. Dopiero 23 września dowiedzieliśmy się o naszem przeznaczeniu. Jadę, ale wiecie gdzie? W głąb kraju, to szczęście, że koleją jeszcze, blizko przez cały dzień w takie miejsce, gdzie księdza polskiego nie było, ale tylko Portugalczycy i Włosi. A jest tam dużo bardzo Polaków i Brazylianów. Parafia wielka, bo w obwodzie będzie miała przeszło 30 mil. Proboszczem jest Brazylianin, staruszek, to też ksiądz biskup polecił mi, żebym ja także nie tylko Polaków obsługiwał, ale także i Brazylianów i pomagał temu Proboszczowi. Dla Polaków, kiedy tylko w to miejsce przyjadą, będzie odstąpiony jeden kościół, bo w tej parafii jest ich dwa i w kościele tym urządzę sobie nabożeństwo po polsku. Miejscowość ta nazywa się Ponta-Grossa. Ponta-Grossa jest miastem i to dużem, skąd kolej ma wychodzić na wszystkie strony. W mieście są Polacy rzemieślnicy, koło miasta kolonie polskie. Ja będę mieszkał w mieście. Pytam się ks. biskupa, w jaki sposób będę się rozmawiał po brazylijsku, kiedy tego języka nie umiem. Odpowiedział mi na to: Ksiądz się prędko nauczy, tam będzie księdzu dobrze, bo tam są Polacy i więcej ich tam jest niż gdzieindziej, a kiedy się nauczy ksiądz po brazylijsku, to będzie księdzu jeszcze lepiej. Tam księdza trzeba już dla samych Polaków, to też tam księdza przeznaczyłem. Księży tu w Brazylii bardzo mało, najwięcej jest Polaków (16 dotychczas), dlatego też tu księdza nie nazywają po nazwisku, ale po imieniu, podobnie jak w Zakonach.

Ponta-Grossa, dnia 25 listopada 1896.

Z Portao odjechałem na kolej dnia 25 września, odwieźli mnie i moje rzeczy, ów kupiec wraz z całą swą rodziną. Nic za to nie wzięli. Wsiadłem do wagonu, ani jednej polskiej żywej duszy podczas całej mej podróży koleją nie ujrzałem. Siedziałem pokorniutko, bo nie rozumiałem ani części z tego, co w wagonie mówiono. Smutno mi się zrobiło w duszy, tak jakoś dziwnie tęskno, tak smutno, że dopiero w owej chwili odczułem, jak to są ojczyste skarby nasze drogie, te wioski i miasta, i wtedy dopiero spostrzegłem, że tysiąc razy więcej ma uroku nasza wierzba, aniżeli tutejsza palma. Wtedy dopiero odczułem, jak drogi każdy polski domek, każda strzecha, gdzie polską słychać mowę! Jakby winowajca jaki, spuściłem głowę i oddałem się dumaniu. A w tem rozmyślaniu przeszedłem mękę całą! Aby rozerwać się trochę, wyjrzałem na świat Boży przez okno. Słońce uśmiechało się mile, lecz mnie się zdawało, że mu tu nie do twarzy, gdyż mnie się płakać chciało. Rzuciłem okiem na pole puste, ani się żywej duszy nie dopatrzy, choćby tylko jednej — pola tylko i pola, porosłe wysoką trawą, na których się bydło całemi stadami pasie. Od czasu do czasu mignie się tylko stacya kolejowa lub jaki domek i tyle wszystkiego. Prawda, że okolica piękna, bo pofałdowana we wzgórza, a nad parowami przystrojona w lasy na kształt naszego

okrążka. Cóż z tego kiedy pusta! Wtenczas jednak, kiedy tamtędy przejeżdżałem, to patrząc się na te okolice, miałem z tego widoku niejakie ukojenie, gdyż wyglądała tak jakby się przystroiła do mej duszy, zupełnie jak ona samotnej. Tak jechaliśmy od 8 z rana do $4^1/_2$ po południu. Nagle zaczęły wyrastać skąś coraz to większe wzgórza, okolica zaczęła mnie interesować. Pytam się, jak się nazywa? Jeden Brazylianin każe mi patrzeć w pewną stronę i mówi: Tam jest miasto Ponta-Grossa. Ot, przecież raz koniec mej podróży! Odetchnąłem, ale cóż dalej pocznę, jak nie zastanę żadnego Polaka na stacyi kolejowej? Miałem się czego troszczyć, gdyż Polaków w mieście tem bardzo mało mieszka; jak tu się pytać, gdzie szukać? Wiedziałem na szczęście o jednym, i jak się nazywa. Kolej przystanęła, wyszedłem... słyszę tylko gwar brazylijskiej mowy. Położyłem kuferek i zacząłem się przechadzać. Nareszcie pytam się pierwszego lepszego po brazylijsku, gdzie mieszka ten, a ten Polak. W tej chwili odzywa się mniemany Brazylianin po polsku, był to bowiem Polak. Wsiadłem na wóz i jazda, już jakby do domu. Kiedy już przeszedłem polski próg, o jak mi się błogo w duszy wtedy zrobiło! Nagadałem się tam za całą drogę i najadłem za cały dzień, ale cóż, kiedy mieszkać nie było gdzie, ani spać. Lecz za godzinę mogłem już być i co do tego spokojnym, bo sąsiad tego Polaka, który mnie tak gościnnie przyjął, bogaty Brazylijanin ofiarował mi 2 pokoiki do czasu, aż sobie jakie pomieszkanie znajdę. Kilkanaście dni tak mieszkałem, gdyż trudno było odpowiednie miejsce na mieszkanie dla księdza znaleść. O pomieszkanie tu bardzo trudno i trzeba drogo płacić. Po dwóch tygodniach mego pobytu u owego Brazylianina, kiedym się zapytał swego gospodarza, ile mam mu za to mieszkanie zapłacić, odpowiedział, że nic. Pomyślałem sobie: Bóg łaskaw! Na drugi dzień idę do brazylijskiego księdza. Rozmawialiśmy się na migi (po łacinie tu nie rozumieją, bo nawet w urzędowaniu kościelnem używają tylko portugalskiego języka) trochę rozmawiałem po portugalsku, a w końcu niemogąc obydwaj nic poradzić, zawołaliśmy tłumacza.

Wtedy dopiero z listu księdza biskupa, jaki pisał ks. biskup do owego księdza brazylijskiego dowiedziałem się, na czem stoję. Przysłał mnie tu ksiądz biskup do Polaków, ale z tym warunkiem, abym ks. proboszczowi dopomógł, bo mu zdrowie nie dopisywało, a parafia ogromna. No! to mi się dostało — myślę sobie. Rób co chcesz między samymi Brazylianinami. W mieście mało co Polaków; kolonie ich tak, jak po drodze z Krosna do Rzeszowa, języka nie umiem, a tu między brazylianinami sam się obracaj i o siebie się troszcz; nikt z Polaków nie wie żem przyjechał. Kościoła nie mają, utrzymania księdzu jeszcze nie dawali, bo ja tu pierwszy. Rób tu początek w tak trudnych okolicznościach! Ruszyłem ramionami wtedy i mówię do księdza: Nie mógł też to ksiądz biskup dać tutaj księdza takiego, coby język miejscowy znał doskonale, a są też tu do tego i Niemcy, więc prędzejby on sobie tu poradził. Czemu ks. biskup nie dał tutaj kogoś starszego, co prawa zna? — „Niech się ksiądz nie boi, wszytko będzie dobrze; tem lepiej dla księdza, bo się znów ksiądz musi wszystkiego pierwej nauczyć, co później na lepsze księdzu wyjdzie. Tylko nie tracić otuchy! Miej księże cierpliwość“, — odezwał się do mnie Brazylianin. „We wszystkiem księdzu dopomogę“; i muszę przyznać, że to bardzo dobry człowiek ten ksiądz Brazylianin rodowity, (a w całej tej wielkiej dyecezyi jest ich ledwo 3 księży Brazylianinów). I rzeczywiście dobrze dla mnie z tem, że mnie ks. biskup w takie miejsce przeznaczył, choć mi się z początku bardzo przykro zdawało. Języka się tu pierwej nauczę niż drudzy i poznam miejscowe obrządki kościelne... Zaraz też po kilku dniach wybraliśmy się w podróż 9 mil od Ponta-Grossy w lasy, ale to w same — mówię wam — lasy. Każdego dnia w innem miejscu odprawialiśmy Mszę św., chrzciliśmy i śluby dawali. Ceremonie przy ślubie tutaj zupełnie odmienne niż u nas, alem się tego wnet nauczył i już sam śluby daję Brazylianinom, gdy ksiądz brazylianin nie ma czasu. W podróży nieustannej byliśmy 11 dni. Gdy powróciliśmy do domu, dopiero wtedy pierwszy raz otworzyłem kufer, który jeszcze przy wyjeździe z Galicyi zamknąłem. Cały miesiąc po morskiej podróży byłem w ciągłej tułaczce: gdzieindziej jadłem, a gdzieindziej spałem. Zdrów jednak byłem i jestem, a powietrze tutejsze mi służy. Nie jest znów tak zanadto gorąco. Zimna też nie ma. Dla mnie tu zdrowo, bo pierwej przy każdej zmianie powietrza zęby mię bolały, teraz zaś przestały mię boleć zupełnie.

Drogi tu są dobre i złe. Główne trakty są wcale przyzwoitemi drogami, prywatne też lepsze aniżeli w naszej wsi w Galicyi, bo błoto w jednej godzinie wysycha. Lasy dwojakiego rodzaju: dziewicze gęste i znów jakby przejrzyste. Tylko z tem niedogodnie, że wszystko strasznie drogo. Domy też jedne piękne jak w Europie, inne znów takie jak psie budy, a nawet gorsze.

Myślimy tu budować nowy kościół, dla samych tylko Polaków, bo dotychczas odprawiamy nabożeństwo w brazylijskim kościele. Brazylianie bowiem mają tu 2 kościoły, z których jeden chcą nam odstąpić, ale nie na własność, lecz na to tylko, abyśmy go do współki z Brazylianami używali, z tym jednak warunkiem, abyśmy kościół ten wewnątrz jeszcze

nie dokończony wykończyli. Używalibyśmy go może po wieczne czasy, jak swój, gdyż Brazylianie bardzo rzadko w nim nabożeństwo odprawiają. Byłoby to bardzo dla Polaków dobrze, bo ten kościół znajduje się w dogodnem miejscu, jest prawie gotowy i już teraz w nim nabożeństwo dla Polaków odprawiam. Byłoby to i z mniejszym ciężarem, gdyż i tak Polacy myślą plebanię stawiać. Tylko oto się rozchodzi, żeby to wszystko zrobić urzędownie i być pewnymi, że nas nikt z tamtąd nie wypędzi, a pieniądze nie zostaną stracone, żeby też na mnie, jako pierwszego w tych stronach księdza polskiego wina jaka nie spadła i ludzie potem nie narzekali. Nad tem się teraz zastanawiam i nad tem wszyscy radzimy, jaki kościół, czy nowy mamy budować, czy też na brazylijski się zgodzić, jakie miejsce wybrać i t. d. Jeżeli będziemy budować nowy, to murowany i pomieszkanie także murowane. O! módlcie się za nas, ażebym dobry zrobił tu postępek, bo choć tu prawa żadnego niema, ażeby kogoś do składek przymuszać, ludzi jednak wszystkich mam za sobą i to ochotnych tak, że wszystko staranie zdali na moją głowę. Módlcie się, żebym już przed Bożem Narodzeniem wiedział napewno, że my tu Polacy Panu Jezusowi taki, a taki kościół ofiarujemy, najpierw w sercu i w myśli, a potem z Bożą pomocą wybudujemy i murowany w rzeczywistości, choćby w przeciągu 1½ roku, a nie zostawimy go w żłobku! Lecz Bóg byłby jeszcze łaskawszym, gdyby nam się udało kościół brazylijski otrzymać. Wszak dobrych ludzi nie brak, znajdą się i tutaj. Utrzymanie mam; koloniści o mnie się starają, za pomieszkanie dla mnie płacą 300 złr. w. a. rocznie; jest ono dosyć obszerne. Wikt mam u siebie, bo tu w Brazylii nie ma tego zwyczaju, ażeby się u kogoś wiktować. Z kucharką miałem tylko dosyć kłopotu, ponieważ z niemałym trudem udało mi się wyszukać tutaj starszą osobę, którаby jeść jako tako umiała ugotować. Wszyscy tu prawie sami młodzi i dopiero, gdy na wszystkie strony ludzie się rozbiegli, z biedą starowinę jednę znaleźli. Ale pierwej, ledwie, żem z głodu nie umarł, bo chciałem tego dokazać, aby na mnie nie śmiał nikt złego słowa powiedzieć. Resztę później wam opiszę.

Ofiary na cele naszego Towarzystwa złożyli:

Ks. kanonik Grodecki 25 złr., Kasa Oszczędności miasta Lwowa 100 złr., p. Sołomina z Rozborza 40 złr., p. Agata Odelga 100 mrk., ks. Arcybiskup Isakowicz 5 złr., ks. Administrator Bauer 10 złr., Kasa Oszczędności miasta Tarnopola 25 złr., Rada m. Jarosławia 20 złr., Rada Powiatowa w Sanoku 10 złr., Kasa Oszczędności miasta Krakowa 10 złr., p. M. Dąmbska 10 złr., p. Zofia Jabłonowska 10 złr., p. Wajda 5 złr., p. N. z Iwonicza 5 złr., ks. M. Stasionis 3 ruble, p. R. Bohaczykówna 5 złr., Karmel Przemyski 5 złr., ks. Wiktor Klimek 5 złr., Franc. Hudalla 3 mrk., Karolina Parylak 1·50 złr., p. Mendelowski 2 roje pszczół i 2 złr., p. Stojakowa 1 złr., p. Karol Kilar 1 złr., ks. profesor Falęcki 5 złr., ks. Ludwik Łabuda 2 złr., p. Telesfor Wilczewski 3 mrk., p. Karolina Stężała 1 mrk., pani Elżbieta Szubert 1 mrk., p. Jadwiga Sternal 1 mrk., p. Marya Zaport 1 mrk., Członkowie od Najśw. Oblicza z Baranowa 5 mrk., N. o wytrwanie w dobrem aż do końca 1 mrk., p. Agnieszka Marszałek 1 mrk., p. Anastazya Dobrzyńska, p. Barbara Janicka z prośbą o nowennę 2 mrk., ks. Proboszcz I. Bryja 5 mszy śpiewanych, ks. Proboszcz p. Halak 5 mszy śpiewanych, ks. Proboszcz St. Januszkiewicz 7 mszy czytanych, p. Floryan Rays 3 złr., p. Leopold Hornik 10 mrk., p. Nyzik Adam 7 mrk., p. Halama 3 mrk., p. Filip Bieniek 3 mrk., ks. dziekan Górski 2 złr., p. Łukasz Grzybała 5 złr., z Hamburga: p. Wł. Nowak 2 mrk., p. Rutkowski 2 mrk., p. Jan Romanowski 2 mrk., p. Michał Walczak 50 fen., p. Kat. Machała 5 złr.. p. Tekla Kwaśniakowa 5 złr., na msze św.: Rodzina Ploch 20 mrk., Rodzina Korczyk 2 mrk., p. Jan Ploch, p. Katarzyna Korczyk 2 mrk., p. Jan Zając 2 mrk., p. Jakób Związek 2 mrk., p. J. Zając 1 mrk., p. Józef Jochemczyk 1 mrk., p. Jan Ploch 1 mrk. 20 fen., p. Teodor Wysocki 60 fen., p. Jan Jendrolik 1 mrk. 20 fen., p. Paweł Jamoszek 1 mrk. 20 fen., p. Drapacz 1 mrk. 20 fen., p. Jan Schidelko 60 fen., p. T. Huchracki 1 mrk. 20 fen., p. Jan Skiba 1 mrk. 20 fen., pan Schrajber 1 mrk. 20 fen., p. Korczyk 1 mrk. 20 fen., p. K. Szafranek 1 mrk. 20 fen., p. Maryanna Ferda 1 mrk. 20 fen., p. Jan Eichorn 1 mrk. 20 fen. (C. d. n.)

P. T. Członkom i Dobrodziejom Towarzystwa naszego niech Pan Jezus zapłaci stokrotnie w tem życiu i drugiem za złożone ofiary.

Nakładem ks. Bronisława Markiewicza w Miejscu Piastowem. — Za redakcyę odpowiedzialny Wojciech Lenik.

Drukiem W. Lenika w Krośnie.